Koniec niemieckiego cudu: pułapki zależności energetycznej i technologicznej w świetle analizy Wolfganga Münchaua

AUTOR

Fundacja Dobre Państwo

STRESZCZENIE / ABSTRACT

Artykuł analizuje upadek niemieckiego modelu gospodarczego opartego na neomerkantylizmie i tanim rosyjskim gazie. Autor wskazuje, że zależność energetyczna nie była jedynie błędem technicznym, lecz świadomym wyborem ustrojowym, który stworzył iluzję stabilizacji i pozwolił odsunąć w czasie konieczną modernizację przemysłu. Tekst obnaża naiwność polityki Ostpolitik, która błędnie zakładała, że współzależność ekonomiczna cywilizuje autokracje. Przykłady takie jak Nord Stream czy postać Gerharda Schrödera służą jako dowody na przedkładanie krótkowzrocznych korzyści komercyjnych nad bezpieczeństwo strategiczne. W efekcie Niemcy zignorowały ostrzeżenia Europy Środkowo-Wschodniej, myląc racjonalność handlową z kontrolą polityczną, co doprowadziło do utraty odporności systemowej w obliczu rosyjskiej agresji.

The article analyzes the collapse of the German economic model based on neo-mercantilism and cheap Russian gas. The author indicates that energy dependence was not merely a technical error, but a conscious systemic choice that created an illusion of stability and allowed for the postponement of necessary industrial modernization. The text exposes the naivety of Ostpolitik, which wrongly assumed that economic interdependence civilizes autocracies. Examples such as Nord Stream or the figure of Gerhard Schröder serve as evidence of prioritizing short-sighted commercial gains over strategic security. Consequently, Germany ignored warnings from Central and Eastern Europe, confusing trade rationality with political control, which led to a loss of systemic resilience in the face of Russian aggression.

Artykuł stanowi krytyczną analizę systemowej kruchości niemieckiego modelu gospodarczego, który przez dekady utożsamiał krótkoterminowy zysk z racją stanu. Autor stawia tezę, że niemiecki neomerkantylizm opierał się na niebezpiecznej iluzji zarządzania ryzykiem, co doprowadziło do powstania dwóch strategicznych pułapek: energetycznej i technologicznej. Pierwsza, objawiająca się w uzależnieniu od rosyjskiego gazu, była formą „paliwa wyparcia", pozwalającego odsuwać w czasie bolesną modernizację przemysłu i transformację energetyczną. Druga, określona mianem „syndromu chińskiego", polegała na naiwnym traktowaniu Chin jako wiecznego klienta, podczas gdy Pekin wykorzystał niemieckie know-how do zbudowania własnej dominacji technologicznej. Tekst dowodzi, że luksus ideologiczny i korporacyjna chciwość oślepiły Berlin na ostrzeżenia geopolityczne, zamieniając dawną potęgę w zakładnika własnych zależności. Analiza ta służy jako przestroga dla innych regionów, w tym Polski, przed budowaniem strategii wzrostu na fundamentach politycznie ryzykownych surowców i jednostronnych relacji handlowych.

SŁOWA KLUCZOWE

zależność energetyczna | neomerkantylizm | syndrom chiński | Atomausstieg | bezpieczeństwo strategiczne | dyfuzja kompetencji | de-risking | suwerenność operacyjna | iluzja zarządzania ryzykiem | Energiewende | model eksportowy Niemiec | bezpieczeństwo technologiczne | zależność od rosyjskiego gazu | odporność systemowa

Tani gaz jako paliwo systemowego wyparcia

W niemieckim modelu gospodarczym energia nie była zwykłym kosztem produkcji. Była jednym z ukrytych sakramentów neomerkantylizmu. Tania, stabilna i przewidywalna dostawa surowca pozwalała utrzymywać konkurencyjność przemysłu chemicznego, hutniczego, motoryzacyjnego czy maszynowego. W gospodarce, która tak silnie utożsamiła się z eksportem towarów fizycznych, energia była tym, czym krew dla organizmu, paliwo dla silnika i cisza dla księgowego. Bez niej mit niemieckiej efektywności zaczynał trzeszczeć.

Dlatego zależność od rosyjskiego gazu nie była wyłącznie decyzją energetyczną. Była wyborem ustrojowym, przemysłowym, geopolitycznym i aksjologicznym. W praktyce oznaczało to, że

Republika Federalna Niemiec zbudowała swój dobrobyt na naiwnym założeniu, iż autokracja będzie wiecznie zachowywać się jak przewidywalny dział zaopatrzenia niemieckiego przemysłu. Tani gaz był dla tego modelu czymś więcej niż surowcem – stał się środkiem uspokajającym wobec problemów, których nie chciano nazwać. Pozwalał łagodzić koszty energochłonnych branż i odwlekać trudną dyskusję o modernizacji infrastruktury, podtrzymując iluzję, że politykę klimatyczną, wyjście z atomu i zachowanie potęgi przemysłowej da się pogodzić bez bolesnego rachunku. Gaz miał być paliwem przejściowym; w niemieckiej praktyce stał się paliwem wyparcia. Umożliwiał narrację, według której można jednocześnie zamykać elektrownie jądrowe, utrzymywać ciężki przemysł i rozwijać OZE, eksportując na wielką skalę i nie denerwując wyborców wzrostem cen, a przy tym nadal pouczać Europę o odpowiedzialności. Jeśli humor absurdu ma tu swoje miejsce, to właśnie w tej scenie: państwo przemysłowe wkłada głowę do gazowego pieca geopolityki i nazywa to ciepłem stabilizacji. Korzenie tego myślenia sięgają jednak głębiej niż same kontrakty.

Niemiecka Ostpolitik miała wielką historyczną rację w epoce zimnej wojny, będąc próbą obniżenia napięć i stopniowego przezwyciężania podziału Europy. Problem pojawił się wtedy, gdy instrument historycznie sensowny zamieniono w dogmat epoki Putina. Idea, że handel łagodzi autokrację, a współzależność ekonomiczna cywilizuje władzę – że rurociąg może być subtelniejszą formą traktatu pokojowego – była niezwykle atrakcyjna. Była wygodna moralnie, opłacalna przemysłowo i elegancka dyplomatycznie. Niestety, była także niebezpiecznie jednostronna. Współzależność rzadko bywa symetryczna; czasem jedna strona sprzedaje surowiec, a druga buduje na nim całą strukturę społeczną i polityczną. Wtedy nie mamy do czynienia z harmonią interesów, lecz z dźwignią. Niemcy przez lata wierzyli, że Rosja jest zależna od niemieckiego klienta tak samo, jak Berlin od rosyjskiego gazu. To złudzenie państwa, które myli własną wagę gospodarczą z kontrolą nad intencjami politycznymi partnera. Podczas gdy Moskwa traktowała gaz jako narzędzie wpływu i szantażu, Berlin widział w nim jedynie racjonalny input do modelu produkcyjnego. Różnica jest zasadnicza: dla jednych był to koszt, dla drugich – broń. A gdy jedna strona widzi fakturę, a druga dźwignię strategiczną, rachunek końcowy zwykle zaskakuje tylko tę pierwszą.

Gerhard Schröder uosabia tę logikę w najczystszej postaci. Był politykiem, który głęboko splótł niemiecką politykę zagraniczną z interesami korporacyjnymi. Jego późniejsza rola w strukturach powiązanych z rosyjskim sektorem energetycznym nie była ekscentrycznym dodatkiem do biografii, lecz symbolicznym zwieńczeniem epoki, w której granica między racją stanu a geopolityczną naiwnością uległa niebezpiecznemu rozmyciu. Schröder jako „ojciec chrzestny" niemieckich sieci przemysłowych jest figurą systemową. Dowodzi, że neomerkantylizm potrzebuje nie tylko fabryk, ale i polityków traktujących państwo jako narzędzie zapewniania tym fabrykom korzystnych warunków – nawet jeśli są one dyktowane przez autokratę.

Nord Stream był z tej perspektywy czymś więcej niż gazociągiem. Był monumentalną rurą samooszustwa. Jego obrońcy przez lata przekonywali, że to projekt czysto komercyjny i techniczny, pozbawiony politycznego sensu. To jeden z najbardziej osobliwych argumentów w europejskiej debacie strategicznej: twierdzić, że rurociąg omijający Europę Środkową, wzmacniający Gazprom i ignorujący ostrzeżenia Polski oraz państw bałtyckich jest „apolityczny". Trudno o lepszy przykład humoru absurdu w dyplomacji – projekt geopolityczny tak oczywisty, że trzeba było wielkiego wysiłku, by udawać, iż to tylko hydraulika.

Ostrzeżenia z Europy Środkowo-Wschodniej traktowano w Berlinie jako przejaw historycznych traum lub prowincjonalnej przesady. Polska i państwa bałtyckie mówiły językiem doświadczenia imperializmu rosyjskiego; Niemcy odpowiadały językiem handlu. W tym sporze problemem nie był nadmiar emocji w Warszawie czy Wilnie, lecz nadmiar wygody poznawczej w Berlinie. Niemcy zbyt długo zakładali, że ich racjonalność jest bardziej uniwersalna niż cudza pamięć historyczna. Tymczasem doświadczenie regionu okazało się bardziej predykcyjne niż niemieckie arkusze kalkulacyjne. To bolesna lekcja epistemologiczna: czasem peryferia widzą imperium lepiej niż centrum handlowe.

Zamiana lęku przed atomem na zależność od gazu

Jeszcze bardziej wymowna była decyzja o odejściu od energii jądrowej. Niemieckie Atomausstieg miało głębokie zakorzenienie społeczne, polityczne i kulturowe; lęk przed atomem stał się immanentną częścią powojennej niemieckiej wyobraźni ekologicznej, antymilitarnej i obywatelskiej. Po katastrofie w Fukushimie decyzja Angeli Merkel o przyspieszeniu wygaszania elektrowni jądrowych była politycznie zrozumiała, lecz strategicznie brzemienna w skutki. Państwo przemysłowe, które rezygnuje z niskoemisyjnego i stabilnego źródła energii, zachowując jednocześnie ambicje klimatyczne oraz gospodarcze, musi dysponować niezwykle solidnym planem zastępczym. Niemcy wprawdzie miały strategię transformacji energetycznej, ale zbyt długo łatały jej luki rosyjskim gazem. W praktyce zamieniono jedno ryzyko — lęk przed atomem — na inne: zależność od autorytarnego surowca. Różnica polegała na tym, że pierwsze z nich było widoczne w kulturze politycznej, drugie zaś było wygodne dla przemysłu.

Ostateczny symbol tej drogi nadszedł w kwietniu 2023 roku, gdy wyłączono trzy ostatnie bloki. Federalny urząd BASE potwierdza, że Isar 2, Emsland i Neckarwestheim 2 przestały pracować 15 kwietnia 2023 roku, kładąc kres niemieckiemu wykorzystaniu energii jądrowej. Ośrodek Studiów Wschodnich słusznie zauważył, że decyzja ta domknęła proces zapoczątkowany w 2002 roku i

potwierdzony po Fukushimie w 2011 roku — i to mimo kryzysu energetycznego wywołanego rosyjską inwazją na Ukrainę oraz mimo ambitnej agendy klimatycznej.

Ideologiczny luksus i oddanie suwerenności operacyjnej

To nie jest drobny szczegół w kalendarzu energetycznym, lecz akt o znaczeniu cywilizacyjnym. W chwili, gdy Europa zderzyła się z brutalnością rosyjskiego szantażu, Niemcy domykały projekt, który zwiększał ciężar transformacji i likwidował jeden z potencjalnych buforów stabilności. Oczywiście uczciwość wymaga odnotowania wątpliwości, bo spór o energetykę jądrową nie jest prosty. Zwolennicy Atomausstieg wyliczają koszty, ryzyka, problem odpadów promieniotwórczych, czasochłonność budowy nowych bloków czy szansę na przyspieszenie OZE. Krytycy ripostują, że w obliczu kryzysu klimatycznego i geopolitycznego rezygnacja ze sprawnych elektrowni jądrowych była luksusem ideologicznym, na który państwo przemysłowe nie powinno było sobie pozwolić. Nie trzeba widzieć w atomie panaceum, by uznać, że niemiecka sekwencja decyzji była strategicznie niefortunna: wygaszanie elektrowni, uzależnienie od gazu, opóźnienia w rozbudowie sieci, ogromny przemysł energochłonny i wreszcie wojna Rosji przeciw Ukrainie. Każda z tych decyzji osobno mogła mieć swoje argumenty, ale ich suma stworzyła kruchość systemową. To częsty dramat polityki publicznej: rozwiązania uzasadnione lokalnie okazują się absurdalne w konfiguracji całościowej.

Jednym z najbardziej jaskrawych przykładów tej słabości była wymiana aktywów między BASF, Wintershall a Gazpromem. W 2015 roku BASF ogłosił zakończenie transakcji, na mocy której spółka zależna Wintershall wycofała się z handlu i magazynowania gazu, by skupić się na poszukiwaniu i wydobyciu surowców. OSW już wtedy wskazywał, że przejmowane przez Gazprom podziemne magazyny mogły odpowiadać za około 5,5 procent rocznego zapotrzebowania Niemiec, co drastycznie zwiększało pole manewru Rosjan na rynku europejskim. Z dzisiejszej perspektywy to podręcznikowy przypadek oddania strategicznej infrastruktury w imię biznesowej logiki sektorowej. Co bardziej absurdalne – działo się to już po aneksji Krymu.

Historia pukała do drzwi, a niemiecki system zajmował się aranżacją magazynu. To zdarzenie obnaża przepaść między rachunkiem przedsiębiorstwa a rachunkiem państwa. Dla koncernu transakcja miała uzasadnienie portfelowe: wyjście z jednego segmentu, optymalizacja aktywów i partnerstwo z gigantem. Dla wspólnoty politycznej sprawa wygląda jednak inaczej. Infrastruktura magazynowa nie jest zwykłym aktywem; to fundament odporności energetycznej, którego kontrola ma kluczowe znaczenie w obliczu szantażu czy gwałtownych zmian podaży. Niemiecki

neomerkantylizm zbyt często pozwalał, by interes korporacyjny posługiwał się językiem racjonalności gospodarczej tam, gdzie niezbędna była kategoria bezpieczeństwa narodowego. W efekcie to, co wyglądało na zwykłą transakcję, było w istocie oddaniem fragmentu suwerenności operacyjnej. Rosyjska inwazja na Ukrainę w 2022 roku brutalnie rozdarła tę zasłonę.

Publiczne ubezpieczenie od prywatnych złudzeń

Nagle okazało się, że gaz nie jest tylko towarem, a rurociąg nie jest tylko rurą. Bundesbank pisał wprost: rosyjska inwazja na Ukrainę wywołała kryzys energetyczny, który postawił przed niemiecką gospodarką poważne wyzwania, a skok cen i gwałtowny popyt na magazynowanie uderzyły zarówno w koszty gazu, jak i w produkcję przemysłową. W grudniu 2023 roku bank centralny wskazywał ponadto, że kryzys energetyczny oraz środowisko wysokiej inflacji drastycznie obniżyły rentowność niemieckich przedsiębiorstw niefinansowych w 2022 roku poprzez gwałtowny wzrost kosztów energii i materiałów pośrednich. To język ekonomii, ale pod nim kryje się diagnoza polityczna: model oparty na tanim gazie zderzył się z ceną własnego zabezpieczenia. Uniper stał się symbolem tej epoki.

Dawny gigant importu, uzależniony od dostaw rosyjskich, znalazł się na krawędzi po zatrzymaniu przepływów przez Gazprom i musiał zostać uratowany przez państwo. Reuters informował w 2026 roku, że Niemcy rozpoczęły proces sprzedaży Unipera po wcześniejszej nacjonalizacji i zainwestowaniu około 13,5 miliarda euro w ratunek firmy; państwo przejęło około 99 procent udziałów w spółce, która dostarczała około 20 procent niemieckiego gazu i obsługiwała kluczową część infrastruktury magazynowej. W tej historii zawiera się cała ironia niemieckiego modelu: przez lata państwo ułatwiało przemysłowi korzystanie z geopolitycznie ryzykownego paliwa, a gdy ryzyko się zmaterializowało, musiało ratować przedsiębiorstwa środkami publicznymi. Prywatna konkurencyjność została zasilona publiczną asekuracją. Tak wygląda państwowa wersja ubezpieczenia od własnych złudzeń.

Nie należy jednak udawać, że niemiecka reakcja na kryzys była wyłącznie nieudolna. Niemcy podjęły znaczny wysiłek dywersyfikacyjny: zbudowały infrastrukturę LNG, zmniejszyły zależność od rosyjskiego gazu, ograniczyły zużycie i wsparły gospodarstwa domowe oraz przedsiębiorstwa poprzez awaryjne działania stabilizacyjne. Trzeba to uczciwie przyznać. Państwo wykazało zdolność reagowania w kryzysie, nawet jeśli wcześniej wykazywało zdolność ignorowania ostrzeżeń. Problem polega na tym, że skuteczność gaszenia pożaru nie unieważnia pytania, dlaczego skład łatwopalnych materiałów urządzono w piwnicy.

Niemcy potrafiły improwizować w sytuacji szoku, choć przez lata wmawiały sobie, że ich siłą jest właśnie unikanie improwizacji. To kolejny moment absurdalny: system, który gardził chaosem, uratował się częściowo dzięki działaniom nadzwyczajnym – czyli temu, czego wcześniej nie lubił jako zasady. W debacie wokół kryzysu ujawnił się także wpływ wielkiego przemysłu. Gdy pojawiła się możliwość szybkiego odcięcia od rosyjskiego gazu, część koncernów ostrzegała przed katastrofą gospodarczą i masowym bezrobociem. Takie głosy nie były całkowicie bezpodstawne, bo przemysł energochłonny rzeczywiście stał przed potężnym szokiem. Jednak intensywność tej retoryki pokazywała, jak głęboko interes określonych sektorów utożsamiono z losem całej gospodarki. Badania ekonomiczne i analizy skutków embarga wskazywały na konsekwencje bolesne, ale niekoniecznie apokaliptyczne. IMF w pracy z 2022 roku analizował potencjalne skutki odcięcia gazu, zwracając uwagę na rozbieżność szacunków niedoborów w zależności od założeń o substytucji i ograniczeniach konsumpcji.

Polityczny spór nie dotyczył więc tylko ekonomii, lecz tego, kto ma prawo definiować skalę katastrofy: niezależni analitycy czy przemysł zainteresowany utrzymaniem dostaw. To napięcie obnaża klasyczną cechę korporacjonizmu: wielkie firmy potrafią przedstawić własne ryzyko jako ryzyko narodowe. W pewnym zakresie jest to uzasadnione, gdyż ich upadek pociąga za sobą regiony i miejsca pracy. Ale jeżeli państwo stale przyjmuje tę perspektywę, traci zdolność oceny alternatyw. Wówczas każda transformacja jawi się jako zagrożenie, a każdy sektor historycznie ważny uzyskuje prawo weta wobec przyszłości. Niemiecka energetyka pokazała, że tania energia z Rosji była nie tylko warunkiem konkurencyjności, ale także instrumentem dyscyplinowania wyobraźni. Dopóki gaz płynął, nie trzeba było odpowiadać na pytanie, jak ma wyglądać przemysł bez niego. Gdy przestał płynąć, pytanie wróciło jak nieopłacona faktura w języku geopolityki.

Energetyka niemiecka odsłania również słabość pewnego typu moralizmu gospodarczego. Niemcy przez lata chętnie pouczały Europę o odpowiedzialności fiskalnej i dyscyplinie, tymczasem ich własna polityka energetyczna generowała ogromny, niezaksięgowany dług ryzyka. Nie był on zapisany jako deficyt budżetowy i nie naruszał bezpośrednio hamulca zadłużenia, ale był długiem wobec bezpieczeństwa. Było to zobowiązanie, które w razie kryzysu musiało zostać spłacone przez społeczeństwo, państwo i partnerów europejskich.

Schuldenbremse pilnowała jednego rodzaju długu, podczas gdy gazociągi produkowali inny. System może być rygorystyczny wobec widzialnych deficytów i ślepy wobec ukrytych zależności. Energetyczny aspekt niemieckiego kryzysu łączy się tu z tezą o neomerkantylizmie: model eksportowy potrzebował taniego paliwa, słabego euro, umiarkowanych płac i rynków zbytu.

Iluzja zarządzania ryzykiem i paraliż tabu

Każdy z tych elementów można było przedstawiać jako racjonalny. Razem tworzyły jednak gospodarkę o ogromnej ekspozycji na czynniki zewnętrzne: rosyjski surowiec, chiński popyt, globalizację, amerykańskie bezpieczeństwo, stabilność strefy euro i cierpliwość partnerów handlowych. Niemcy uchodziły za kraj samowystarczalnej sprawności, choć ich sukces był silnie warunkowany zewnętrznie. Energia obnażyła to najdobitniej. Fabryka była niemiecka, ale gaz już nie. Bezpieczeństwo wojskowe zapewniało NATO, rynek zbytu należał do Chin, a waluta była europejska. Tymczasem narracja narodowa wciąż opowiadała o niemieckiej wyjątkowości.

Tu dochodzimy do pojęcia „iluzji zarządzania ryzykiem", które Münchau uznaje za kluczowe. Niemiecki model potrafił znakomicie zarządzać ryzykiem technicznym w produkcie, ale zawodził przy ryzyku politycznym w systemie. Potrafiono dopracować silnik, normę jakości czy proces logistyczny, lecz nie chciano właściwie wycenić ryzyka uzależnienia od państwa prowadzącego politykę imperialną. To paradoks specjalizacji: ta sama kultura, która w jednym obszarze rozwija obsesję kontroli, w innym przyjmuje niemal dziecięco ufne założenia. Kontrola mikrometryczna i geopolityczna naiwność mogą żyć obok siebie w tym samym modelu. Właśnie dlatego humor absurdu jest tu tak skuteczny – pokazuje inżyniera sprawdzającego tolerancję śruby, podczas gdy fundament budynku przejmuje ktoś z łomem.

Polityka klimatyczna dodatkowo komplikuje obraz. Niemcy miały ambicję bycia liderem Energiewende, dążąc do dekarbonizacji i przejścia na odnawialne źródła energii. Projekt ten był historycznie ważny i pionierski, jednak problemem okazała się sekwencja, skala i odporność. OZE wymagają sieci, magazynowania, elastyczności systemowej oraz stabilnych źródeł bilansujących. Jeśli państwo szybciej rezygnuje ze stabilnej bazy niż buduje odporną alternatywę, powstaje luka. Gdy tę lukę wypełnia rosyjski gaz, transformacja klimatyczna staje się zakładnikiem autorytarnej geopolityki.

To sprzeczność, której przez lata nie chciano widzieć z pełną ostrością. Zielona narracja i przemysłowy pragmatyzm zawarły małżeństwo z rosyjskim gazem, a świadkiem był Nord Stream. W tym punkcie energetyka jądrowa wraca do debaty europejskiej jako kwestia bezpieczeństwa i klimatu, choć państwa pozostają podzielone. Niemcy wybrały drogę definitywnego wyjścia.

Francja, Polska i inne kraje widzą w atomie element niskoemisyjnego miksu i gwarancję dostaw. Nie jest rolą tego tekstu rozstrzygać ekonomiki atomu, ale z perspektywy niemieckiego modelu trzeba powiedzieć jasno: zamknięcie ostatnich elektrowni jądrowych w warunkach kryzysu było wyrazem kulturowej determinacji, a nie chłodnego rachunku strategicznego. Państwo, które lubi mówić o racjonalności, pozwoliło, by kluczowy obszar został uformowany przez silne tabu. Tabu

jest kategorią antropologiczną, ale w gospodarce działa realnie: tabu atomowe, deficytu, krytyki eksportu, konfliktu z przemysłem czy przyznania racji Europie Środkowej w sprawie Rosji. Każde z nich zawężało debatę. W zdrowym systemie tabu mogą stabilizować wartości, ale w systemie zagrożonym blokują adaptację. Niemcy stali się więźniami własnych tabu.

Energia była obszarem, w którym objawiły się one najdotkliwiej: atom był nie do przyjęcia, rosyjski gaz uznano za pragmatyczny, OZE za moralnie dobre, a ostrzeżenia sąsiadów za przesadne. Suma tych założeń stworzyła politykę, która wyglądała elegancko tylko dopóty, dopóki nie zderzyła się z wojną. Agresja Rosji na Ukrainę zmieniła relację między energią a prawem. Sankcje, nadzór nad aktywami i interwencje państwa pokazały, że rynek energii nie jest zwykłym rynkiem – prawo energetyczne stało się prawem bezpieczeństwa. Logika ciągłości dostaw wyparła prawo konkurencji, a państwo liberalne zaczęło podejmować decyzje, które niedawno uznano by za herezję wobec rynkowej normalności.

To podważyło niemiecki porządek wyobraźni: okazało się, że infrastruktura jest polityczna, własność ma znaczenie strategiczne, a zależność kontraktowa może być zagrożeniem publicznym. Dla Unii Europejskiej ta korekta była lekcją wspólnotową. Kryzys dotknął wszystkich, ale skala zapotrzebowania Niemiec sprawiła, że decyzje Berlina miały znaczenie globalne. Energia udowodniła, że niemiecki model nie jest prywatną sprawą jednego kraju. Gdy największa gospodarka Europy buduje konkurencyjność na tanim gazie z Rosji, konsekwencje ponoszą wszyscy partnerzy. Niemiecka polityka energetyczna była europejskim problemem jeszcze zanim Berlin zechciał ją tak nazwać. Dla Wielkopolski znaczenie tej lekcji jest bezpośrednie.

Niemiecki kryzys jako lekcja odporności dla Polski

Region gospodarczo spleciony z niemieckim przemysłem musi mieć świadomość, że koszt energii w Niemczech, struktura ich miksu energetycznego oraz kondycja chemii, automotive i maszynownictwa bezpośrednio rzutują na zamówienia, ceny i strategie inwestycyjne firm działających w Polsce. Gdy niemieckie przedsiębiorstwa tracą przewagę kosztową przez droższą energię, zaczynają ograniczać produkcję, szukać oszczędności lub przenosić wybrane funkcje.

Dla Wielkopolski to układ ryzyk i szans. Ryzykiem jest oczywisty spadek popytu ze strony partnerów zza Odry. Szansą zaś – przyciąganie inwestycji, rozwój lokalnych kompetencji energetycznych i awans w łańcuchach wartości. Warunek jest jednak jeden: nie wolno biernie czekać, aż niemiecki model sam zdecyduje, komu pozwoli przetrwać. Z tego błędu Polska i Wielkopolska powinny wyprowadzić trzy konkretne wnioski.

Po pierwsze: tania energia nie jest strategią, jeśli pochodzi z politycznie ryzykownego źródła. Po drugie: transformacja energetyczna bez zaplecza w postaci infrastruktury, magazynowania, sieci i kompetencji przemysłowych pozostaje jedynie deklaracją, a nie systemem. Po trzecie: bezpieczeństwo energetyczne musi być integralną częścią polityki gospodarczej, a nie technicznym dodatkiem dla ekspertów od paliw. Wymaga to realnych inwestycji w dywersyfikację, OZE, atom (tam, gdzie zostanie wybrany), biogaz czy cyberbezpieczeństwo infrastruktury. Energia przestała być zwykłym rachunkiem za prąd.

Jest konstytucją przemysłu. Niemiecki przypadek dowodzi, że polityka energetyczna nie może stać się zakładnikiem jednej narracji moralnej. Przez lata w niemieckiej debacie OZE malowano jako moralnie dobre, atom jako podejrzany, gaz jako pragmatyczny, a węgiel jako przejściowe zło. Tymczasem rzeczywistość systemowa wymaga języka twardych danych: emisyjności, stabilności, kosztów i odporności na szantaż. Polityka energetyczna nie znosi moralnych skrótów. Jeśli zbyt długo się nimi posługujemy, historia dopisuje brakujące zmienne w formie kryzysu. Tu powraca także „syndrom chiński", który omówię szerzej w kolejnej części.

Transformacja energetyczna Europy wymaga technologii i surowców, w których Chiny odgrywają dominującą rolę. Jeśli Europa przechodzi od zależności gazowej od Rosji do zależności technologicznej od Pekinu, to nie rozwiązuje problemu suwerenności, lecz zmienia jego nośnik.

Energia to polityka, a nie neutralny towar

To oczywiście nie oznacza, że zielona transformacja jest błędem. Oznacza jedynie, że bez polityki przemysłowej i bezpieczeństwa dostaw może ona powtórzyć mechanizmy niemieckiej pomyłki gazowej. Historia uczy bowiem, że dobre intencje klimatyczne nie unieważniają złej architektury strategicznej. Niemcy muszą zatem przeformułować energetykę jako projekt odporności, a nie tylko dekarbonizacji. Odporność to zdolność przetrwania szoku cenowego, geopolitycznego, infrastrukturalnego i technologicznego. To dywersyfikacja dostaw, magazynowanie, elastyczność popytu, decentralizacja tam, gdzie pomaga, centralna koordynacja tam, gdzie jest konieczna, oraz świadomość, że każdy wybór energetyczny tworzy układ zależności.

Gaz z Rosji był zależnością widoczną dopiero wtedy, gdy użyto go jako narzędzia presji. Import zielonych technologii z Chin może stać się zależnością ujawniającą się przy innym kryzysie. LNG wiąże nas cenowo z globalnym rynkiem, atom tworzy zależności technologiczne i kapitałowe w cyklu paliwowym, a OZE – materiałowe i sieciowe. Nie istnieje energia bez polityki; istnieje tylko polityka udająca, że energia jest neutralna. Z punktu widzenia antropologii gospodarczej fascynujące jest, jak długo niemieckie społeczeństwo utrzymywało narrację marginalizującą ryzyko

rosyjskie. Być może decydowała pamięć powojennego pojednania, chęć odcięcia się od militaryzmu, ekonomiczny pragmatyzm, naciski przemysłu, pacyfistyczne odruchy i wiara w to, że Niemcy znalazły wyjątkową metodę cywilizowania świata przez handel. W tej wizji było coś głęboko atrakcyjnego: wymiana zamiast konfrontacji, rurociąg zamiast twardej geopolityki, współpraca zamiast podejrzliwości i kupiecka stabilizacja zamiast pamięci o imperium. Niestety autokracje nie zawsze czytają niemiecką filozofię pojednania. Czasem czytają mapy.

To jedno z najbardziej niewygodnych zdań dla europejskiego humanizmu gospodarczego: handel nie zawsze demokratyzuje. Może bogacić autokratę, dostarczać mu walut, technologii i wpływów, a przede wszystkim czasu na rozpoznanie słabości partnera. Współzależność może zmniejszać ryzyko konfliktu, ale potrafi też zwiększyć koszt reakcji demokracji na agresję. Gdy państwo demokratyczne staje się gospodarczo zależne od autokracji, jego moralność zaczyna negocjować z własnym bilansem. Wtedy prawa człowieka, integralność terytorialna państw trzecich i bezpieczeństwo sojuszników przegrywają z argumentem o miejscach pracy i rachunkach za prąd. Niemcy nie były jedynym krajem, który popełnił ten błąd, ale były krajem, który ubrał go w najbardziej dostojny język racjonalności.

Kryzys energetyczny unaocznił również znaczenie infrastruktury jako formy pamięci politycznej. Rurociągi, terminale LNG, magazyny czy sieci przesyłowe są materialnymi zapisami dawnych decyzji. Nie da się ich zmienić tak szybko jak rządowych deklaracji. Jeżeli przez dekady buduje się infrastrukturę pod jeden model, to nawet po zmianie świadomości politycznej ciało gospodarki pozostaje ukształtowane przez przeszłość. To dlatego decyzje energetyczne rzucają tak długi cień. Po 2022 roku Niemcy mogły zmienić język wobec Rosji, ale nie mogły natychmiast zniwelować skutków wcześniejszych inwestycji.

Gazociąg jest zdaniem napisanym w stali. Można przestać je lubić, ale nie można udawać, że nie zostało napisane. Właśnie dlatego krytyka Münchaua jest tak ostra. Nie chodzi w niej wyłącznie o błędne prognozy czy złe inwestycje, lecz o to, że niemieckie elity przez lata myliły stabilność z uzależnieniem, dialog z uległością, pragmatyzm z krótkowzrocznością, a interes przemysłu z dobrem państwa. Energia odsłoniła moralny i strategiczny koszt tej pomyłki. W świecie akademickim opisuje się to jako problem sekurytyzacji gospodarki, nieadekwatnej wyceny ryzyka geopolitycznego i instytucjonalnego uwięzienia ścieżki. W języku bardziej brutalnym można powiedzieć prościej: Niemcy przez lata kupowały tani gaz, a wraz z nim drogie złudzenia. Nie należy jednak traktować tego błędu jako wyłącznie niemieckiego. Cała Europa ma skłonność do odkładania rachunków strategicznych: w uzależnieniu od Chin, imporcie surowców krytycznych, zbyt wolnej budowie zdolności obronnych, słabej cyfryzacji administracji, niedoinwestowanych sieciach energetycznych czy napięciach demograficznych i powolnych rynkach kapitałowych.

Polityka energetyczna jako test dojrzałości państwa

Niemcy są tu przypadkiem najbardziej spektakularnym, bo przez lata uchodziły za wzór. Wiele innych państw w mniejszej skali powiela jednak podobne błędy. Polska również nie jest wolna od pokusy taniej energii, opóźniania inwestycji sieciowych czy sporów symbolicznych wokół miksu energetycznego i wiary, że gospodarka jakoś się dostosuje. Niemiecka lekcja ma sens tylko wtedy, gdy nie stanie się polskim samozadowoleniem. Dla profesjonalisty, eksperta czy decydenta najważniejszy wniosek brzmi: polityka energetyczna jest testem dojrzałości państwa. Pokazuje, czy kraj potrafi myśleć w horyzoncie dekad i dostrzega ryzyko poza bieżącą ceną; czy odróżnia interes koncernu od interesu systemu; czy prowadzi spór technologiczny bez tabu i zabezpiecza transformację klimatyczną przed zależnością od autokratycznych łańcuchów dostaw.

Niemcy zdały część tego egzaminu w przeszłości, budując potężną gospodarkę przemysłową. Oblały go jednak w obszarze geopolityki energii. Teraz muszą zdawać poprawkę w warunkach, w których egzaminatorami są wojna, klimat, Chiny, demografia i wyborcy zmęczeni kosztami transformacji. Humor absurdu tej sytuacji polega na tym, że kraj przez lata uchodzący za nauczyciela europejskiej odpowiedzialności, sam musi teraz odrabiać lekcję z podstaw bezpieczeństwa. Nie ma w tym powodu do szyderstwa, jest za to powód do czujności. Niemcy nadal mają potencjał, by zbudować nową, bardziej odporną energetykę, ale wymaga to zaprzestania traktowania dawnych wyborów jak moralnych dogmatów. Muszą uznać, że energia jądrowa, OZE, gaz, wodór czy magazyny nie są symbolami plemiennymi, lecz elementami rachunku systemowego. Muszą też przyznać, że bezpieczeństwo nie jest stanem naturalnym, który dostarcza handel, NATO albo dobra wola dostawcy. Bezpieczeństwo jest projektem politycznym, technicznym i społecznym. Kto go nie projektuje, ten importuje ryzyko. W końcowym rozrachunku niemiecka zależność od rosyjskiego gazu była jedną z najbardziej kosztownych pomyłek poznawczych współczesnej Europy.

Nie stało się tak dlatego, że nikt nie mógł przewidzieć przyszłości w szczegółach – nikt jej nie zna. Stało się tak, bo zlekceważono zbyt wiele sygnałów, by móc zasłaniać się niewiedzą. Gruzja, Krym, Donbas, autorytaryzm Putina, ostrzeżenia Europy Środkowej czy polityczne użycie surowców – sygnały były. Problem polegał na tym, że system nie chciał ich słyszeć, bo brzmiały zbyt nieprzyjemnie dla melodii niemieckiego eksportu. A gdy rzeczywistość fałszuje melodię, konformista oskarża instrument.

Energia była więc nie tylko paliwem niemieckiego cudu, ale i testem prawdy o tym cudzie. Pokazała, że część sukcesu opierała się na zewnętrznych warunkach, których nie kontrolowano; że przemysłowa potęga bywa krucha, gdy zależy od cudzych surowców i własnych tabu; że moralne samozadowolenie może współistnieć z geopolityczną zależnością. Pokazała, że odpowiedzialność

fiskalna nie wystarczy, jeśli państwo zaciąga długi strategiczne. I pokazała, że humor absurdu w polityce energetycznej kończy się wtedy, gdy rachunek za żart przychodzi w megawatogodzinach, inflacji i utraconej wiarygodności. Syndrom chiński w historii niemieckiego modelu gospodarczego nie polega wyłącznie na tym, że Niemcy zbyt mocno uzależniły się od jednego rynku. To byłoby zbyt proste.

Przemysłowa pedagogika stworzyła własnego następcę

Istota tego procesu jest głębsza i bardziej ironiczna: przez dekady Niemcy eksportowały do Chin maszyny, technologie produkcji, samochody i całą organizacyjną wyobraźnię przemysłową, by ostatecznie odkryć, że ich najważniejszy klient nauczył się nie tylko kupować, ale przede wszystkim produkować, skalować, dotować, kopiować, ulepszać i wypierać swojego nauczyciela z rynku. To nie jest zwykła opowieść o handlu; to historia o przemysłowej pedagogice, która stworzyła własnego następcę. Niemcy przyjechały do Chin z podręcznikiem inżynierii, a Chiny po latach oddały im egzamin sprawdzony czerwonym długopisem.

W klasycznej fazie globalizacji relacja ta wydawała się wzorcowo komplementarna. Niemcy dysponowały zaawansowanymi technologiami, samochodami klasy premium, chemią, automatyką i instytucjonalną pewnością siebie eksportera. Chiny oferowały ogromny rynek, tanią siłę roboczą, rosnącą klasę średnią oraz państwo zdolne do brutalnej koncentracji zasobów. Niemiecki neomerkantylizm uznał to za układ niemal idealny: eksportujemy to, w czym jesteśmy najlepsi, korzystamy z azjatyckiego wzrostu i sprzedajemy maszyny tym, którzy budują fabryki, a samochody tym, którzy aspirują do klasy średniej. Sprowadzamy tańsze komponenty, a całość nazywamy triumfem globalizacji z niemieckim akcentem.

Przez pewien czas narracja ta była tak przekonująca, że samo pytanie o ryzyka brzmiało jak nietakt przy stole zarządu. Jednak w relacji z Chinami niemiecki model popełnił błąd typowy dla potęg w fazie samozadowolenia: założył trwałość swojej pozycji w łańcuchu wartości. Uznał, że Chiny będą przez lata potrzebować niemieckiego know-how, pozostając na niższym szczeblu hierarchii technologicznej. To było złudzenie cywilizacyjnej bezwładności.

Chiny nie traktowały bowiem importu technologii jako luksusu konsumpcyjnego, lecz jako etap systemowej nauki. Niemiecka maszyna nie była dla nich produktem, lecz podręcznikiem i obiektem reverse engineeringu — elementem transferu kompetencji wpisanym w narodową strategię przemysłową. Podczas gdy Niemcy myślały kategoriami kontraktu, Chiny operowały kategorią zdolności państwa. W tym miejscu niemiecki neomerkantylizm zderzył się z neomerkantylizmem chińskim — wersją bardziej bezwzględną, scentralizowaną i świadomą technologicznie. Niemcy

wierzyły w symbiozę korporacyjno-państwową, lecz wciąż funkcjonowały w ramach demokratycznego państwa prawa, unijnych regulacji i pluralistycznej debaty. Chiny natomiast zbudowały model, w którym partia, banki, dotacje i cele geopolityczne splotły się w jedną, monolityczną machinę.

Pułapka chińskiego klienta: od dominacji do technologicznej zależności

Niemcy stworzyły system wspierania starych czempionów; Chiny natomiast zbudowały mechanizm produkowania nowych na skalę imperialną. Niemiecki korporacjonizm bywał kolesiowski, chiński kapitalizm państwowo-partyjny – strategicznie drapieżny. To właśnie dlatego metafora „od klienta do konkurenta" jest tu kluczowa. W tradycyjnej wyobraźni eksportera klient to jedynie odbiorca. W rzeczywistości globalizacji technologicznej klient może być uczniem, a uczeń z czasem staje się rywalem. W Chinach niemieckie firmy znajdowały nie tylko popyt, ale i presję na transfer technologii: wymuszaną lokalizację produkcji, tworzenie joint ventures czy adaptację do regulacji, przy jednoczesnym wzroście siły miejscowych firm. Niemiecki biznes akceptował te warunki, bo krótkoterminowe zyski były ogromne. Rynek chiński był zbyt wielki, by go nie kochać, a gdy rynek staje się zbyt wielki, menedżer zaczyna mylić miłość z uzależnieniem.

W sektorze motoryzacyjnym ta historia brzmi szczególnie dramatycznie. Przez lata Chiny stanowiły główne źródło wzrostu dla Volkswagena, BMW czy Mercedesa i całego ekosystemu automotive. Niemieckie marki kojarzyły się tam ze statusem, jakością i zachodnim prestiżem. Pojawienie się chińskich producentów samochodów elektrycznych zmieniło jednak reguły gry. Chińskie firmy nie tylko zaczęły produkować taniej – one zaczęły projektować samochody jako produkty cyfrowe, z agresywnym tempem innowacji i głęboką integracją baterii, oprogramowania oraz elektroniki użytkowej. Reuters relacjonował w 2026 roku, że producenci tacy jak Geely i Nio coraz wyraźniej celują w klientów premium marek Porsche, Mercedes i BMW, oferując modele nasycone technologią i znacznie tańsze od niemieckich odpowiedników. Jeszcze wymowniejszy jest fakt, że Volkswagen, po ćwierćwieczu dominacji, został wyprzedzony przez BYD w 2024 roku i zepchnięty na trzecie miejsce przez Geely w 2025; Reuters opisał tę transformację jako zmianę „poza wyobraźnią" niemieckich firm. Ta fraza jest niezwykle znamienna, bo „poza wyobraźnią" nie oznacza jedynie nagłości ataku, ale granicę modelu mentalnego.

Niemiecki przemysł potrafił planować warianty, lecz nie dopuścił do siebie myśli o świecie, w którym chińskie marki przestają być tanim cieniem Zachodu, a stają się pełnoprawnymi konkurentami technologicznymi i cenowymi. Wyobraźnia strategiczna spóźniła się za rynkiem,

który nie zamierzał czekać. Warto tu dostrzec głębszą asymetrię: niemieckie firmy traktowały Chiny jako rynek zbytu i bazę produkcyjną, podczas gdy chińskie państwo widziało w przemyśle instrument modernizacji narodowej, autonomii technologicznej i pozycji geopolitycznej. Ta rozbieżność celów musiała doprowadzić do konfliktu. Dla niemieckiego koncernu liczył się udział w rynku, marża i zadowolenie akcjonariuszy; dla Chin – zbudowanie zdolności pozwalających zastąpić import i przejąć segmenty przyszłości. Gdy jedna strona liczy kwartalne wyniki, a druga projektuje dekady, rezultat jest przewidywalny, choć menedżerowie odkrywają go zwykle z miną zaskoczonego człowieka, który sprzedał komuś drabinę, a potem zdziwił się, że ten wszedł wyżej.

Syndrom chiński dotknął również fotowoltaikę. Niemcy i Europa miały ambicje zielonej transformacji, lecz w wielu segmentach OZE to Chiny uzyskały dominację produkcyjną. Niemiecka branża solarna została wyparta przez chińską skalę, dotacje i przemysłową determinację. To nie był tylko spór o panele, lecz zwiastun szerszego problemu: Europa może projektować politykę klimatyczną, ale jeśli nie kontroluje kluczowych technologii i łańcuchów dostaw, jej transformacja staje się importowaną transformacją. Zielona gospodarka może wówczas zmniejszać zależność od rosyjskich paliw kopalnych, by w zamian zwiększyć ją względem chińskich komponentów, metali i baterii.

Chińska zależność jako powtórzenie rosyjskiego błędu

Zmienia się kolor zależności, ale nie zawsze jej struktura. Dane Eurostatu z 2024 roku obnażają skalę problemu: Unia Europejska pozostaje krytycznie zależna od Chin w imporcie magnezu i galu, a aż 95 procent pierwiastków ziem rzadkich pochodzi z Chin, Malezji i Rosji. Taka koncentracja dostaw w rękach jednego lub dwóch graczy czyni Europę skrajnie podatną na zakłócenia w sektorach technologii krytycznych. Europejski Bank Centralny zauważył zresztą, że chińskie restrykcje eksportowe z kwietnia 2025 roku – uderzające w pierwiastki ziem rzadkich i magnesy trwałe – natychmiast przełożyły się na problemy produkcyjne w branżach obronnej, energetycznej, elektronicznej oraz w sektorze pojazdów elektrycznych.

W tym tkwi sedno nowej zależności: nie chodzi już o jedną rurę z gazem, lecz o setki komponentów. Brak jednego elementu może dziś zatrzymać fabrykę, turbinę, auto, radar czy drona, a w konsekwencji – całą transformację klimatyczną. Niemcy są w tym układzie szczególnie wystawione na cios, gdyż ich przemysł jest jednocześnie energochłonny, eksportowy i zaawansowany technologicznie, co czyni go zakładnikiem komponentów krytycznych. Ośrodek Studiów Wschodnich wskazywał w 2025 roku, że błędy w polityce surowcowej doprowadziły do nadmiernej

zależności od importu magnesów trwałych, a przyszłość niemieckiej motoryzacji i energetyki zależy od kaprysów Pekinu, przy jednoczesnym braku własnych technologii przetwarzania tych surowców.

To niemal idealne powtórzenie rosyjskiego błędu, tyle że w nowej, technologicznej formie. Wtedy surowcem był gaz; teraz są nim pierwiastki, baterie i zdolności przetwórcze. Wtedy rurociąg był widoczny i namacalny. Teraz zależność jest rozproszona, a przez to trudniejsza do politycznego wyobrażenia. Dopiero w 2026 roku niemieccy politycy zaczęli głośniej mówić o redukcji tego ryzyka. Reuters relacjonował słowa wicekanclerza Larsa Klingbeila na szczycie G7 w Paryżu, który stwierdził, że państwa G7 „nie mają czasu do stracenia", by ograniczyć zależność od Chin dominujących w łańcuchach dostaw dla OZE i obronności.

To istotna zmiana języka. Niemcy zaczęli używać słowa „zależność" tam, gdzie wcześniej królowały terminy takie jak „partnerstwo", „rynek" czy „współpraca". Niestety język zmienia się szybciej niż infrastruktura. Surowcowej autonomii nie buduje się konferencją prasową. Buduje się ją kopalniami, recyklingiem, strategicznymi rezerwami i latami inwestycji w badania materiałowe. Syndrom chiński różni się od rosyjskiego tym, że Chiny są jednocześnie dostawcą, odbiorcą, konkurentem i rywalem systemowym. Rosja dostarczała głównie energię i zagrożenie militarne; Chiny dostarczają komponenty przyszłości i konkurencję w tej samej przyszłości.

To czyni problem znacznie bardziej złożonym. Nie da się po prostu „odciąć" od Chin bez potężnych kosztów, bo są one wpisane w globalne łańcuchy wartości na wielu poziomach. De-risking nie jest tym samym co decoupling. Niemcy to rozumieją, ale część ich przemysłu nadal reaguje odruchem starego modelu: nie drażnić rynku, nie ryzykować marż, nie zaburzać łańcucha. To zrozumiałe biznesowo, lecz niebezpieczne systemowo. Giganci chemiczni i motoryzacyjni przez lata traktowali Chiny jako przestrzeń niezbędną. Miliardowe inwestycje BASF w chińskie moce produkcyjne czy ogromna ekspozycja rynkowa producentów aut tworzą mechanizm opóźniania korekty. Liderzy biznesu posługują się językiem realizmu: nie można zrezygnować z rynku, który istnieje. Mają rację w sensie literalnym, ale prawdziwy realizm nie polega na uzasadnianiu zależności jej aktualną opłacalnością. Polega on na wycenie kosztu, który pojawi się, gdy ta zależność stanie się narzędziem nacisku.

W tym punkcie niemiecki humor absurdu osiąga szczyt wyrafinowania. Po szoku gazowym i lekcji o tym, że autokracje używają gospodarki jako broni, część elit nadal traktuje Chiny jak po prostu „trudny, ale opłacalny rynek". To trochę tak, jakby człowiek, który sparzył się o gorący piec, postanowił następnego dnia sprawdzić językiem temperaturę lutownicy, ale tym razem z raportem ryzyka w kieszeni. Nie chodzi o całkowite porzucenie handlu z Chinami. Chodzi o to, by nie traktować wygodnej zależności jako dowodu strategicznej mądrości po raz drugi. Chińska konkurencja nie kończy się bowiem na granicach chińskiego rynku.

Drugi wstrząs chiński uderza w serce przemysłu

Chińska obecność w Europie gęstnieje. Reuters informował w maju 2026 roku, że inwestycje greenfield z Chin osiągnęły w 2025 roku rekordowy poziom niemal 9 miliardów euro – wzrost o 51 procent rok do roku. Całkowity napływ bezpośrednich inwestycji chińskich wyniósł 16,8 miliarda euro, z czego głównym celem była motoryzacja (7,6 mld euro), a aż 93 procent tych środków skierowano do łańcuchów dostaw pojazdów elektrycznych. To sygnał, że Chiny nie ograniczają się do eksportu produktów; one budują fizyczną obecność w sektorach przyszłości, często dokładnie tam, gdzie europejski i niemiecki przemysł chciałby zachować własną przewagę. Pojawia się kolejny paradoks: Europa lęka się chińskich subsydiów, a jednocześnie łaknie inwestycji, technologii i mocy produkcyjnych. Granica między de-riskingiem a zapraszaniem zależności do domu staje się coraz bardziej złożona.

Nowy "China shock" zdominował już europejską debatę. The Guardian w 2026 roku opisywał obawy przed rosnącą zależnością przemysłu UE od chińskich komponentów, wskazując na ryzyko deindustrializacji i utraty miejsc pracy, szczególnie w sektorach maszynowym i motoryzacyjnym; przywołano tam dane o znaczących stratach zatrudnienia w niemieckich zakładach pod presją konkurencji z Chin. To nie jest powtórka z początku XXI wieku, gdy chiński eksport uderzał głównie w proste segmenty produkcji. Obecny wstrząs dotyczy technologii zielonych, pojazdów elektrycznych, zaawansowanych materiałów i całych ekosystemów dostaw. Jeżeli pierwszy China shock uderzał w tekstylia, zabawki i niskokosztową produkcję, drugi uderza w samo serce niemieckiej godności przemysłowej.

Tutaj powraca pojęcie ryzyka klastrowego. Niemcy zbyt mocno postawiły na sektory, które jednocześnie są zależne od Chin jako rynku, konkurują z nimi jako producent i potrzebują ich jako dostawcy komponentów. Motoryzacja jest tu przykładem podręcznikowym. Niemiecki producent samochodów elektrycznych może potrzebować chińskich baterii, surowców i elektroniki oraz tamtejszego rynku zbytu, a jednocześnie musi walczyć z chińskimi markami oferującymi tańsze i coraz bardziej zaawansowane pojazdy. To nie jest zwykły konflikt handlowy. To sytuacja, w której rywal siedzi w twoim łańcuchu dostaw, w twoim rynku docelowym i w twojej przyszłej strukturze kosztów.

Niemiecki przemysł lubił złożone układy mechaniczne. Teraz zderzył się z mechanizmem geopolitycznym o złożoności, której nie da się naprawić kluczem dynamometrycznym. Współczesna chińska polityka przemysłowa jest dla Niemiec szczególnie dotkliwa, bo uderza tam, gdzie Berlin spóźnił się cyfrowo i energetycznie. Chiny wpompowały ogromne zasoby w pojazdy elektryczne, baterie, fotowoltaikę, surowce krytyczne, 5G i AI. Ich model jest pełen nadwyżek, subsydiów i

błędnych alokacji, ale stworzył skalę, której Europa nie potrafi szybko skopiować. Niemcy, przyzwyczajone do ewolucyjnej poprawy, spotkały konkurenta działającego logiką masowej mobilizacji państwowej. Niemiecki menedżer optymalizował produkt. Chińskie państwo optymalizowało sektor.

Różnica poziomu analizy przekłada się na różnicę siły. Syndrom chiński ma wymiar poznawczy, podobny do niemieckiej porażki cyfrowej. Niemcy długo nie wierzyły, że chińskie firmy mogą zagrozić im jakością czy marką; w starym stereotypie Chiny były fabryką tanich kopii, a nie źródłem innowacji.

Ten stereotyp pozwalał zachować komfort psychiczny, ale w gospodarce jest on kosztownym luksusem. Chińskie firmy z branży EV, elektroniki czy fotowoltaiki nie muszą już prosić o uznanie w języku Zachodu – zdobywają klientów ceną, funkcjonalnością i tempem aktualizacji. Można krytykować model państwowego wsparcia, lecz nie można ignorować jego skutków. Niemiecki przemysł zbyt długo mylił dumę z analizą. Warto jednak uniknąć drugiego uproszczenia.

Chiny również mają poważne problemy: spowolnienie wzrostu, zadłużenie samorządów i nieruchomości, demografię, nadprodukcję, taryfy oraz ograniczenia w dostępie do półprzewodników i ryzyka wynikające z autorytarnego sterowania gospodarką.

Asymetria czasu i pułapka dyplomacji leasingowanej

To nie jest model idealny. Nie trzeba jednak uznawać Chin za nieomylne, by przyznać, że w kluczowych sektorach przyszłości stały się konkurentem, którego Niemcy zbyt późno potraktowały poważnie. Dojrzałość analizy w naukach społecznych polega na umiejętności jednoczesnego dostrzeżenia sił i słabości aktora. Chiny są silne tam, gdzie grają skalą, państwową koordynacją i agresywną polityką przemysłową; słabną zaś tam, gdzie centralizacja, przeinwestowanie i kontrola polityczna tłumią innowacyjność oraz zaufanie. Jednak dla niemieckiego automotive fakt istnienia chińskich słabości nie jest pocieszeniem, gdy chiński samochód okazuje się tańszy, szybciej aktualizowany i bardziej atrakcyjny dla klienta. Unia Europejska próbuje reagować instrumentami obrony handlowej, regulacjami czy strategią surowców krytycznych, lecz europejska odpowiedź zazwyczaj nie nadąża za tempem chińskiej ekspansji.

Demokracja prawna wymaga procedur, konsultacji, zgodności z regułami WTO, kompromisów między państwami członkowskimi i kontroli sądowej. To wartościowe ograniczenia, ale w konfrontacji z autorytarną polityką przemysłową tworzą asymetrię czasu. Europa mierzy, waży, konsultuje i projektuje, podczas gdy Chiny budują, dotują, eksportują i testują. Nie chodzi o to, by

Europa stała się Chinami, lecz by nie używała własnych wartości jako usprawiedliwienia dla instytucjonalnej ospałości. Państwo prawa nie musi być państwem powolnym; może być przewidywalne i szybkie, o ile sprawnie zaprojektuje procedury.

Niemcy szczególnie potrzebują tej lekcji. „Syndrom chiński" obnaża granice tradycyjnego niemieckiego lobbingu gospodarczego. Przez lata kanclerze i ministrowie pełnili rolę ambasadorów handlowych, otwierając w Pekinie drzwi dla rodzimych firm. Był to dobrze znany teatr: delegacje, kontrakty, zdjęcia i oświadczenia o partnerstwie, podczas gdy kwestie praw człowieka czy rywalizacja geopolityczna były systematycznie spychane na dalszy plan. Taki model działa, dopóki partner potrzebuje twoich firm bardziej niż ty jego rynku. Gdy sytuacja się odwraca, dyplomacja handlowa traci skuteczność. Nie można w nieskończoność sprzedawać dostępu do technologii komuś, kto sam staje się technologią.

Tutaj krytyka Münchaua zyskuje wymiar prawno-polityczny. Państwo demokratyczne nie może traktować polityki zagranicznej wyłącznie jako usługi dla eksporterów. Prawo, bezpieczeństwo międzynarodowe, integralność sojuszy czy odporność łańcuchów dostaw muszą być równorzędnymi elementami polityki gospodarczej. Jeśli zostaną podporządkowane krótkoterminowemu interesowi korporacji, państwo staje się zakładnikiem własnego sektora eksportowego. Wtedy decyzje o tym, jak twardo mówić do Pekinu, nie wynikają z analizy strategicznej, lecz z obaw o sprzedaż samochodów i marże chemii. To nie jest suwerenność. To dyplomacja leasingowana przemysłowi.

Selektywna odporność zamiast neoliberalnej naiwności

Niemcy stają przed problemem, którego nie da się rozwiązać jednym hasłem. Całkowite odcięcie od Chin jest nierealistyczne i prawdopodobnie szkodliwe, ale kurczowe trzymanie się starego modelu staje się zbyt ryzykowne i mało opłacalne. Potrzebna jest selektywna strategia odporności: identyfikacja sektorów krytycznych, dywersyfikacja dostaw, europejska produkcja wybranych komponentów, recykling surowców, kontrola transferu technologii oraz wsparcie dla krajowych innowacji. Do tego współpraca z partnerami demokratycznymi i ograniczanie zależności w obronności i energetyce, przy jednoczesnym zachowaniu handlu tam, gdzie ryzyko systemowe jest akceptowalne. Brzmi to rozsądnie, ale wymaga czegoś, co w niemieckim modelu było w deficycie: zdolności do zakwestionowania interesu wielkiego biznesu w imię interesu systemu.

Dla Wielkopolski syndrom chiński ma podwójne znaczenie. Po pierwsze, osłabienie pozycji Niemiec w relacjach z Pekinem uderza rykoszetem w polskie i wielkopolskie firmy wpięte w niemieckie łańcuchy automotive, maszyn, komponentów czy logistyki. Jeśli niemieccy giganci tracą udziały w

rynku chińskim, spada eksport aut i rośnie presja cenowa, dostawcy w Polsce odczują to niemal natychmiast. Reuters podawał, że według Instytutu Gospodarki Niemieckiej wartość niemieckiego eksportu aut i części do Chin spadła w 2025 roku do poniżej 14 miliardów euro (z prawie 30 miliardów trzy lata wcześniej), a sam eksport samochodów obniżył się o około jedną trzecią.

To nie jest informacja wyłącznie dla Wolfsburga i Stuttgartu. To sygnał dla każdego regionu, który żyje w cieniu niemieckiej motoryzacji. Po drugie, chińska konkurencja może przerysować mapę inwestycji w Europie Środkowej. Firmy produkujące baterie czy technologie zielone mogą szukać lokalizacji w UE, by obchodzić bariery handlowe i być bliżej rynku, korzystając z europejskiej infrastruktury i rąk do pracy. Dla Wielkopolski to potencjalna szansa inwestycyjna, ale i ryzyko nowej zależności technologicznej. Strategia regionu nie może polegać na tym, by zamienić bycie zapleczem niemieckiego przemysłu w bycie zapleczem chińskiego przemysłu. Celem powinien być awans kompetencyjny: przejście do projektowania, automatyzacji, usług inżynierskich, zarządzania własnością intelektualną, cyberbezpieczeństwa czy zaawansowanej obsługi prawno-regulacyjnej.

Region wygrywa wtedy, gdy przestaje być tylko tanią halą produkcyjną, a staje się węzłem wiedzy. Syndrom chiński powinien nas nauczyć ostrożności wobec pojęcia "rynek zbytu". Jest on kuszący, lecz bywa pułapką, jeśli przedsiębiorstwa uzależnią od niego całą strukturę produktów i decyzje strategiczne. Niemcy przez lata wierzyli, że chiński popyt potwierdza słuszność ich modelu. W rzeczywistości dawał im on jedynie czas, a nie gwarancję przyszłości. To kluczowa różnica: czas można wykorzystać na modernizację albo na celebrację. Niemcy zbyt często wybierały to drugie. Polska nie powinna popełniać tego błędu wobec żadnego rynku – w tym niemieckiego.

Każda zależność, która w dobrych latach wygląda jak stabilność, w złych latach może stać się kanałem szoku. Na poziomie nauk społecznych syndrom chiński potwierdza koniec neoliberalnej naiwności wobec globalizacji. Globalizacja nigdy nie była neutralnym procesem efektywnej alokacji zasobów, jak chciały to sugerować podręcznikowe wersje. Była i jest grą państw, technologii, norm, subsydiów i polityki przemysłowej. Niemcy, mimo własnego korporacjonizmu, zbyt długo opowiadały sobie liberalną bajkę o handlu: rynek, popyt, współpraca, wzrost. Chiny wybrały narrację strategiczną: modernizacja, suwerenność technologiczna, dominacja w sektorach przyszłości. Kto operuje bardziej realistyczną historią, ten częściej wygrywa dany etap gry.

Nie dlatego, że ma rację moralną, ale dlatego, że lepiej rozpoznaje stawkę. Współcześni krytycy europejskiego samozadowolenia – od geopolityków po ekonomistów innowacji – wskazują, że zbyt długo ignorowaliśmy znaczenie polityki przemysłowej i kapitału ryzyka. Realiści gospodarczy ostrzegają: wolny handel bez strategii bezpieczeństwa to zaproszenie do zależności. Eksperci od innowacji dodają, że rynek sam nie zbuduje autonomii bez zamówień publicznych. Z kolei prawnicy

podkreślają, że reguły konkurencji muszą iść w parze z polityką przemysłową, bo inaczej Europa będzie pilnować czystości rynku, na którym dominujące technologie dostarczą inni.

Pułapka dyfuzji kompetencji i złudzenie przewagi

Münchau wpisuje się w ten nurt, nadając mu szczególną ostrość. Pokazuje niemiecki model jako przypadek kraju, który miał wszelkie narzędzia, by dostrzec nadchodzące zmiany wcześniej, a mimo to patrzył w lusterko wsteczne. Jednym z fundamentalnych błędów niemieckiego myślenia było utożsamienie globalizacji z trwałym rozszerzeniem własnego rynku. W rzeczywistości globalizacja okazała się być maszyną dyfuzji kompetencji – to, co niegdyś dawało przewagę centrum, mogło zostać przejęte, przetworzone i rozwinięte przez peryferie.

Chiny nie ograniczały się do importu maszyn; importowały możliwość budowania własnych zdolności. Gdy te już powstały, mechanizmy globalizacji zaczęły działać przeciwko dawnemu centrum. Niemcy odkryły zbyt późno, że proces dostarczający im klientów, jednocześnie kreował konkurentów. Dla ekonomisty nie powinno być to zaskoczeniem, jednak powinno martwić menedżera, który przez lata zbyt komfortowo interpretował wysoką sprzedaż jako dowód przewagi, a nie jako etap transferu technologii. Syndrom chiński jest zatem także opowieścią o czasie. W latach 2005–2015 Niemcy dysponowały oknem możliwości: tani gaz, chiński popyt, słabe euro i umiarkowane płace stworzyły tzw. „dekadę przypadków".

Mogły wtedy intensywnie inwestować w cyfryzację, baterie, software, AI, kapitał ryzyka, nowe modele mobilności czy odporność energetyczną i surowcową. Zamiast tego dobrą koniunkturę interpretowano jako potwierdzenie słuszności starego modelu. To klasyczny błąd organizacji odnoszących sukces: nie rozróżniają one wyniku od przyczyny tego wyniku. Jeśli rezultat jest dobry, zakładają, że wynika on z ich doskonałości, podczas gdy często przyczyną jest po prostu sprzyjająca pogoda. A pogoda geopolityczna, jak wiadomo, nie podpisuje umowy serwisowej.

Absurd tej sytuacji ma niemal teatralny wymiar. Niemiecki przemysł sprzedawał Chinom urządzenia do budowy nowoczesności, a potem dziwił się, że nowoczesność nie wróciła z podziękowaniem, tylko z cennikiem. Niemiecki biznes zachowywał się jak profesor udzielający przez lata korepetycji bardzo zdolnemu uczniowi, który następnie obraża się, że uczeń uzyskał lepszą ocenę z egzaminu. W gospodarce nie istnieje jednak prawo do wiecznej wdzięczności ucznia – liczy się tylko konkurencja zdolności. Chiny nauczyły się tego, czego chciały, a potem zaczęły grać na własnych zasadach. Zaskoczenie Berlina jest więc w gruncie rzeczy zaskoczeniem człowieka, który pomylił zwykłą transakcję z trwałą hierarchią.

Od regulacyjnej tarczy do europejskiej strategii

W wymiarze prawnym syndrom chiński stawia pytania o instrumenty kontroli inwestycji, zamówień publicznych, bezpieczeństwa technologicznego i ochrony danych. Przejęcie KUKA przez chiński kapitał, szeroko dyskutowane w Niemczech, stało się symbolem spóźnionej refleksji nad tym, które aktywa są faktycznie strategiczne. Państwo, które zbyt długo wierzyło w naiwną otwartość kapitałową, musiało na szybko nauczyć się języka ochrony infrastruktury technologicznej.

Problem w tym, że spóźniona kontrola nie cofa wcześniejszych transferów. Prawo inwestycyjne działa najlepiej wtedy, gdy wyprzedza entuzjazm, a nie próbuje odzyskać mleko po cyfrowym rozlaniu. Jednocześnie Europa musi uważać, by odpowiedź na Chiny nie zamieniła się w prosty protekcjonizm pozbawiony strategii. Cła, bariery i postępowania antysubsydyjne mogą być potrzebne, ale nie zastąpią innowacji. Ochrona rynku bez własnej produkcji przyszłości to jedynie odraczanie przegranej. Jeśli europejski konsument ma kupować droższy produkt w imię suwerenności, musi on być nie tylko patriotycznie uzasadniony, ale przede wszystkim technologicznie przekonujący. Niemcy nie mogą liczyć na to, że regulacyjna tarcza zwolni ich z konieczności zbudowania lepszych baterii, software'u, łańcuchów dostaw i modeli biznesowych. Tarcza bez miecza jest estetyką obronną, nie strategią.

Tu pojawia się pojęcie de-riskingu. Angela Merkel i jej poprzednicy budowali relacje z Pekinem w logice pogłębiania handlu; Ursula von der Leyen i współczesna debata mówią już o ograniczaniu ryzyk. Jednak de-risking łatwo staje się słowem wygodnym, bo każdy rozumie je po swojemu. Dla polityka to komunikat twardszy niż business as usual, lecz mniej radykalny niż decoupling. Dla przemysłu – kosmetyczna dywersyfikacja bez utraty rynku. Dla ekspertów bezpieczeństwa – realna zmiana łańcuchów dostaw. Dla Chin zaś sygnał, że Europa wreszcie dostrzega asymetrię. Prawdziwy de-risking będzie kosztowny. Kto obiecuje go za darmo, prawdopodobnie sprzedaje nową wersję starego złudzenia.

Syndrom chiński zmusza także do spojrzenia na euro i wspólny rynek. Niemcy przez lata korzystały z europejskiej skali, ale relacje z Chinami prowadziły głównie przez pryzmat interesów narodowego przemysłu. Tymczasem odpowiedź na Chiny wymaga skali kontynentalnej: wspólnej polityki surowców krytycznych, rynku kapitałowego, unii energetycznej i koordynacji handlowej. Pojedyncze państwo, nawet Niemcy, nie ma skali porównywalnej z USA czy Chinami. Niemiecki model, jeśli chce przetrwać, musi stać się mniej narodowo-neomerkantylistyczny, a bardziej europejsko-strategiczny. To trudna lekcja, bo wymaga rezygnacji z pozycji nauczyciela Europy na rzecz roli współuczestnika jej przebudowy.

Warto jednak pamiętać, że Chiny nie są wyłącznie zagrożeniem. Są lustrem. Pokazują wszystko to, czego Europa nie zrobiła: nie zbudowała skali w zielonych technologiach, nie rozwinęła rynków kapitału ryzyka, zbyt wolno cyfryzowała administrację i zbyt długo wierzyła, że regulacja może zastąpić produkcję. Chińska presja jest bolesna, ale może stać się bodźcem do otrzeźwienia. Państwa uczą się czasem dopiero wtedy, gdy konkurent odbiera im marżę. To pedagogika brutalna, ale skuteczna.

Koniec iluzji i konieczność nowej suwerenności

Jeśli Niemcy chcą odnowić swój model, muszą potraktować Chiny nie tylko jako rywala, ale jako dowód własnego opóźnienia. Jednym z najbardziej niepokojących aspektów syndromu chińskiego jest jego wpływ na politykę wewnętrzną. Gdy przemysł traci miejsca pracy, regiony zależne od automotive czują presję, energia drożeje, a transformacja klimatyczna staje się kosztowna przy jednoczesnej ofensywie cenowej Chin – społeczeństwo staje się podatne na populistyczne narracje. Skrajna prawica wskaże winnych w ekologach, migrantach, Brukseli czy elitach. Lewicowy populizm obarczy winą neoliberalizm i geopolitykę Zachodu. Z kolei konserwatywni przemysłowcy będą postulować powrót do dawnego modelu. Problem w tym, że ten model nie wróci, bo warunki jego funkcjonowania po prostu zniknęły.

Polityka obiecująca powrót do taniego gazu, niekwestionowanego eksportu i chińskiego popytu bez chińskiej konkurencji sprzedaje nostalgię jako program gospodarczy. Niemiecki system demokratyczny stoi przed trudnym zadaniem: musi przeprowadzić bolesną transformację, nie tracąc przy tym legitymacji społecznej. Wymaga to nowego języka. Nie można mówić obywatelom wyłącznie o konieczności akceptacji kosztów z powodów geopolitycznych, ani obiecywać, że wszystko wróci do normy. Potrzebna jest dorosła narracja: część dawnych przewag wygasła, niektóre sektory muszą zostać przebudowane, a pewne miejsca pracy znikną – ale w zamian państwo może stworzyć nowe kompetencje, inwestycje i źródła produktywności.

Bez takiej opowieści syndrom chiński stanie się paliwem politycznego gniewu. A gniew, jak wiadomo, jest tanią energią populizmu. Ta lekcja – zarówno polityczna, jak i gospodarcza – jest równie ważna dla Wielkopolski i całej Polski. Jeśli regiony zależne od przemysłu i eksportu nie otrzymają wiarygodnej strategii adaptacji, ulegną nostalgii, antyglobalizmowi i nieufności wobec zmian. Przedsiębiorcy potrzebują czegoś więcej niż ostrzeżeń; potrzebują instrumentów: kapitału, doradztwa, dostępu do technologii, wsparcia cyfryzacji czy uczelni zorientowanych na praktykę. W przeciwnym razie będą robić to, co wiele firm w warunkach niepewności: czekać. A czekanie jest najdroższą formą strategii, gdy konkurent nie czeka.

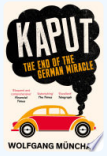
Wreszcie syndrom chiński wymusza rewizję pojęcia suwerenności gospodarczej. Nie oznacza ona samowystarczalności – co byłoby niemożliwe i nieefektywne – lecz zdolność wyboru, odporność na szantaż i kontrolę nad technologiami krytycznymi. To możliwość utrzymania funkcji państwa w kryzysie i negocjowania z pozycji, która nie jest desperacka. Niemcy przez lata budowały swoją siłę na potędze przemysłowej; dziś muszą odbudować ją w nowych obszarach: surowcowym, cyfrowym, energetycznym i demograficznym. Bez tego pozostaną potęgą eksportową starego typu w świecie, który nagradza kontrolę nad przyszłymi infrastrukturami.

Syndrom chiński jest drugim wielkim lustrem niemieckiego kryzysu po zależności od Rosji. Rosja pokazała, że tani surowiec z autokracji może stać się polityczną pułapką; Chiny dowodzą, że lukratywny rynek autokracji staje się pułapką technologiczną. Pierwsza odsłoniła słabość energetyczną, druga – przemysłowo-cyfrową. Rosja zniszczyła iluzję, że handel gwarantuje pokój; Chiny niszczą iluzję, że handel gwarantuje trwałą przewagę eksportera. W obu przypadkach błędem było nadanie ekonomicznej wygodzie rangi strategii. Niemcy sprzedali Chinom maszyny, a Chiny sprzedały Niemcom przyszłość w cenie konkurencji. To retoryczna przesada, ale z głębokim sensem strukturalnym.

Niemiecki model nie upadł w jednym starciu. Został stopniowo rozmontowany przez własną wiarę w trwałość przewagi. Przez lata Chiny były rynkiem uzasadniającym starą strukturę niemieckiego przemysłu; dziś są głównym powodem, dla którego ta struktura musi odejść do lamusa. To właśnie jest syndrom chiński: klient, który najpierw potwierdza twoją wielkość, a potem pokazuje, że ta wielkość była jedynie etapem jego nauki.

> Niemiecki model gospodarczy przez lata kupował tani gaz i chiński popyt, wierząc, że handel jest w stanie cywilizować autokracje. Ostatecznie jednak okazało się, że rurociągi i kontrakty nie były mostami do pokoju, lecz stalowymi zapisami przyszłego długu strategicznego. Czy Europa zdoła wyciągnąć lekcję z tego upadku, zanim lęk przed utratą marż ponownie przeważy nad instynktem przetrwania?

Inspiracje

[1] 

"Kaput The End of the German Miracle" Wolfgang Munchau

Swift Press | ISBN: 9781800753440

Wolfgang Münchau (ur. 1961) to wybitny niemiecki dziennikarz, komentator ekonomiczny i autor znany z analiz gospodarki Unii Europejskiej i strefy euro. Jest dyrektorem i współzałożycielem Eurointelligence, wpływowego serwisu dostarczającego codzienne komentarze dla inwestorów, naukowców i decydentów. Wcześniej był zastępcą redaktora naczelnego i felietonistą Financial Times oraz członkiem-założycielem Financial Times Deutschland, gdzie pełnił funkcję redaktora naczelnego. Münchau ugruntował swoją pozycję jako czołowy głos w europejskich sprawach gospodarczych, często krytykując modele przemysłowe i polityczne. Jego prace często koncentrują się na wyzwaniach strukturalnych stojących przed Niemcami i szerzej pojętą gospodarką europejską. Regularnie publikuje w takich publikacjach jak „New Statesman" i jest autorem kilku książek, w tym wydanej w 2024 roku książki „Kaput: The End of the German Miracle", w której analizuje upadek niemieckiego modelu gospodarczego.

Wolfgang Münchau (born 1961) is a prominent German journalist, economic commentator, and author known for his analysis of the European Union and the Eurozone economy. He is the director and co-founder of Eurointelligence, an influential service providing daily commentary for investors, academics, and policymakers. Previously, he was an associate editor and columnist for the Financial Times and a founding member of Financial Times Deutschland, where he served as editor-in-chief. Münchau has established himself as a leading voice on European economic affairs, frequently critiquing industrial and political models. His work often focuses on the structural challenges facing Germany and the broader European economy. He is a regular contributor to publications such as the New Statesman and has authored several books, including his 2024 work, Kaput: The End of the German Miracle, which examines the decline of the German economic model.

Eurointelligence

Literatura uzupełniająca

Książki

Książki autora i dzieła przywołane w tekście:



[1] "The Meltdown Years: The Unfolding of the Global Economic Crisis"

Wolfgang Munchau

2009 | McGraw Hill Professional | ISBN: 9780071713689

Książki autorów przywoływanych i literatura pokrewna:

[2] "Entscheidungen"

Gerhard Schröder

[3] "On the historical unity of Russians and Ukrainians"

Władimir Putin

[4] "Economic War Ukraine Russia and the West"

Maximilian Hess

[5] "Underground Empire"

Henry Farrell n Abraham Newman

Artykuły naukowe

Prace autorów przywoływanych w tekście:

[1] "4 Appeal and Survival of Anabaptism in Early Modern Germany"

Päivi Räisänen-Schröder

2017 | Lived Religion and the Long Reformation in Northern Europe c. 1300–1700 | DOI: 10.1163/9789004328877_006

Źródło

[2] "Evaluation of the rate constant for the SN2 reaction fluoromethane + hydride .fwdarw. methane + fluoride in the gas phase"

A. Merkel, Zdeněk Havlas, R. Zahradník

1988 | Journal of the American Chemical Society | DOI: 10.1021/ja00233a012

Źródło

[3] "Ab initio quantum chemical study of the SN2 reaction, CH3F+H− → CH4+F−, in the gas phase"

Zdeněk Havlas, A. Merkel, Josef Kalcher, Rudolf Janoschek, R. Zahradník

1988 | Chemical Physics | DOI: 10.1016/0301-0104(88)87106-4

Źródło

[4] **"ChemInform Abstract: Evaluation of the Rate Constant for the SN2 Reaction CH3F + H- → CH4 + F- in the Gas Phase"**

A. Merkel, Zdeněk Havlas, R. Zahradník

1989 | ChemInform | DOI: 10.1002/chin.198912096

Źródło

[5] **"Heterogeneous catalytic hydrogenation of 5-ethylidene-2-norbornene in the liquid phase"**

V. V. Zamalyutin, E. V. Okuneva, A. Yu. Putin, A. I. Nichugovskii, V. R. Flid

2025 | Russian Chemical Bulletin | DOI: 10.1007/s11172-025-4686-3

Źródło

Artykuły naukowe autora:

[6] **"Kernschmelze im Finanzsystem"**

Wolfgang Münchau

2008 | Carl Hanser Verlag GmbH & Co. KG eBooks | DOI: 10.3139/9783446419506

Źródło

[7] **"The meltdown years : the unfolding of the global economic crisis"**

Wolfgang Münchau

2010 | McGraw-Hill eBooks

Źródło

[8] **"MAKROSTRATEGIEN"**

Wolfgang Münchau

2010 | Carl Hanser Verlag GmbH & Co. KG eBooks | DOI: 10.3139/9783446425378

Źródło

[9] **"The Case for Policy Sustainability"**

Wolfgang Münchau

2009 | Cato Journal

Źródło

[10] **"Una teoría para la crisis"**

Wolfgang Münchau

2009 | Política exterior

Źródło

Treść tworzy Fundacja Dobre Państwo.
Redaguje i publikuje APA ONE, autorski system redakcyjny Fundacji oparty na AI.
APA ONE Publishing System
Fundacja Dobre Państwo © 2026
Article ID: 0006abbf-9fbe-454f-b46b-47c15c00e0e4